

Od autora: Czy spełni się wreszcie marzenie Julity?

PS. I tak powstał tryptyk, chociaż pierwotnie nie miałam takiego zamiaru;) Ale życie pisze własne scenariusze, weryfikując nasze plany i postanowienia...

„Krowiarki”

Widok małej figurki krowy wcale nie zdziwił Julity, gdy robiła sobie kawę na stacji paliw w podgórskiej miejscowości Zator. Była senna, oczy miała zasklepione przez zaropiałki, marzyła tylko o porannej kawie – magicznie uleczającym napoju nocnych marków i marek wszelakich, do których z całą pewnością się zaliczała. Wychodząc z kubkiem gorącego napoju, jeszcze raz spojrzała na białą-czarną krówkę. *„To nie mógł być przypadek. To musiało coś znaczyć”* – pomyślała.

Wróciła do samochodu, gdzie czekał na nią Rajmund Pokrzywiński – sąsiad z bloku. Był tego samego wzrostu, urody pospolitej, nie wyróżniał się niczym szczególnym, miał tylko wielkie niebieskie oczy, które z naiwnym spojrzeniem dziecka często w nią wlepił. Durzył się w niej skrycie, wiedziała o tym od dawna i właśnie z tego powodu zupełnie jej nie interesował. Ją zawsze kręciły obiekty nieosiągalne, zabójczo przystojne, często zajęte zimne dranie, które wyśmiewały ją, nazywając krową, z powodu wielkiego tyłka i szerokich bioder. Rajtek Pokrzywa – tak go w myślach nazywała, nigdy nie nazwałby jej w ten sposób. Przenigdy! Dla niego była boginią, której pragnął służyć i widywać. Często pomagał w domowych czynnościach wymagających męskiej ręki, wiedzy i siły. Nic nie chciał w zamian, bezinteresownie pomagał biednym, staruszkom lub małym dzieciom, gdy płakały. Traktowała go jak naiwniaka, nudziarza, wiedząc, że niczego jej nie odmówi. Któregoś dnia, gdy wracał z treningu umorusany przez błotniste kałuże nadrzecznej łączki, spytała wprost, czy nie zabralby jej na wycieczkę do Zawoi. Od dawna marzyła o zdobyciu Babiej Góry i chciała w końcu zrealizować ten projekt. Rajmund, zazwyczaj introwertyczny i cichy, bardzo się ucieszył, nie mógł opanować radosnych emocji. Akurat za dwa tygodnie miał startować w niedzielnych zawodach sportowych i natychmiast zgodził się wydłużyć wyjazd o sobotę, specjalnie dla niej. Miał samochód i prawo jazdy, których to dwóch rzeczy ona nie posiadała. Bała się siedzieć za kierownicą, tylu szaleńców krążyło po drogach, tylu pijanych kierowców. Najlepiej czuła się jako pasażer.

Wyjechali o czwartej nad ranem, aby tego samego dnia mogła zdobyć wymarzony szczyt, najwyższy w Babiogórskim Parku Narodowym (1725 mnpm). Prawie całą drogę spała, on kierował, cichutko słuchając radia, nie chciał jej zbudzić. Zaproponowała, że pokryje połowę kosztów paliwa i noclegu. Wiedziała, że i bez tego zgodziłby się jechać, ale chciała się jakoś zrewanżować. Bycie altruistą to piękny czyn, ale życie jest życiem. Nie ma nic za darmo.

Sącząc kawę, podziwiała piękno podgórskich miejscowości. Ich malowniczość, urokliwą powolność mieszkańców, dla których czas płynął wolniej. Przed wjazdem do Wadowic jakiś pan, pchając taczkę przeszedł przez drogę, nie bacząc, że z naprzeciwka zbliżał się ku niemu samochód. Kierowca zwolnił, przepuścił pieszego i pojechał dalej, do swojego życia. Poboczem biegały pokraczne kundły, chodziły odziane w chustki i nylonowe fartuchy staruszki, inne kobiety dźwigały ciężkie od zakupów siatki lub pchały wózki z małymi dziećmi, pijaczkowie prowadzili rowery – swoje równoważnie. Życie toczyło się nieśpiesznie, jak na południu Włoch. Tam nieznośny upał spowalniał ruch, tu majestat pobliskich gór.

Do Zawoi dotarli dość wcześnie, na tyle jednak późno, że bezpłatny parking dla turystów był już zajęty. Okoliczni mieszkańcy proponowali zostawianie samochodów na ich podwórkach, oczywiście za niewielką opłatą. Skorzystali z takiej oferty. Julita szybko przebrała się w odpowiedni strój, założyła buty do wspinaczki wysokogórskiej, nie noszone co prawda od wielu lat, ale sprawdzone, wzięła kijki i ruszyła na szlak. Rajmund koniecznie chciał z nią iść, ona jednak stanowczo zaprotestowała, tłumacząc, że to długo wyczekiwane marzenie, że pragnie sama zdobywać szczyt, bez kogokolwiek obok siebie. „*A już na pewno nie z tobą Rajtek!*” – powiedziała do siebie w myślach. Zachowywał się jak skomlący pies, którego nie można odgonić bez użycia kija, czy mocnych słów. Szedł za nią jeszcze przez jakiś czas, licząc, że zmieni zdanie, potem zawrócił.

Kijki rytmicznie stukały o asfalt, buty nie wydawały żadnych dzięków, nogawki materiałowych spodni ocierały się, wydając ledwo słyszalny szelest. Gdzieś w oddali szemrał strumyk, świergotały ptaki. Słońce odważnie przebijało się przez gęste korony drzew, ich listki cichutko szumiały. Dzień był piękny, prawie bezwietrzny i ciepły, wyjątkowy jak na początek października. Taką pogodę mogły zesłać tylko niebiosy, na zamówienie, specjalnie dla niej, przecież dwa tygodnie wcześniej było już zimno i deszczowo, a na ten weekend aura nagle się odmieniła i przybrała barwy lata. To nie mógł być przypadek.

Julita szła równym rytmem, sycąc spokojnym szczęściem. Już na początku zielonego szlaku wyprzedzili ją młodzi ludzie, dwie one i dwóch nich, gnali przed siebie, jakby ich sam diabeł gonił. Wyprzedzili ją również czterej panowie grubaskowie, objuczeni sporych rozmiarów plecakami, po bokach których symetrycznie sterczały półtoralitrowe butelki z wodą. Maszerowała własnym tempem, wspinając się po śródleśnej równi lub kamiennych stopniach. Szła z głową, słuchając serca. Znała góry, wiedziała, że tam trzeba być ostrożnym, z szacunkiem podchodzić do ich majestatu i wielu niespodzianek, które mogą przygotować. Babia Góra owiana była legendą grozy, słynęła z wielu niebezpiecznych miejsc, szczególnie przy złej aurze, a w górach wszystko mogło nagle się zmienić.

Stroma wspinaczka wymagała kondycji i doświadczenia. Jeszcze przed spotkaniem dwóch szlaków, zielonego z czarnym, minęła tych samych młodych ludzi oklapłych pod drzewem na grubej warstwie ciemnozielonego mchu. Grubasków dogoniła na kamiennym podejściu, gdy głośno sapiąc, stali wsparci o drewnianą barierkę. Na pół godziny przed drogowskazowym czasem dotarła do schroniska na Markowych Szczawinach. Magiczna aura i spokój wędrowki natychmiast prysły. Spoczęła na drewnianej ławie, w otoczeniu tłumu nieprzyjemnie głośnych i obleśnie rozwrzeszczanych, przypadkowych turystów. Żłopałi piwsko, grali na gitarze, fałszując zapitymi głosami wulgarne piosenki. Dziwiła się, że coś takiego w ogóle istnieje. Inaczej wyobrażała sobie miejsce, o którym śniła wielokrotnie, gdzie chciała spędzić noc. To nie była baza dla niej, spokojnej dziewczyny z małego miasteczka. Przykra rzeczywistość odarła marzenie z ułudy, z piękna, z tajemnicy niepoznania. „*Ideal sięgnął bruku...*” – porównała sytuację do wiersza wieszcz. Bolesne było to spotkanie.

Odpoczynek był krótki, wystarczył tylko, aby napić się wody i coś przekąsić przed dalszą wspinaczką. Zostawiła za sobą gwarne schronisko i ruszyła czerwonym szlakiem, podpierając się kijkami. Trasa stromo wznosiła się po kamiennych stopniach. Na szczęście były suche, nie groziły poślizgnięciem, ani upadkiem. Julita szła powoli, podziwiając panoramę innych pasm górskich wyłaniającą się ponad coraz niższymi partiami roślin. Wysokie drzewa ustąpiły miejsca skarłowaciałym jarzębinom i gęstej kosodrzewinie. Zbrązowiałe, ponadmetrowej wysokości paprocie, lśniące w słońcu pióropusze białych traw ze

zwisającymi lekko kłosami, jagodowe krzewinki z licznymi wciąż owocami i wielkie głązy tworzyły poszycie lasu. Las ślicznie jesienniał w oczekiwaniu na zimę.

Odpoczęła chwilę na Przełęczy Brona, skąd mogła wspiąć się na Małą Babią Górę, jednak jej celem była ta ważniejsza, prawdziwa Babia Góra. Matka, nie córka, to ku niej dążyła, ona była priorytetem. W wąskim, kamiennym, otoczonym kosówką tunelu mijała schodzących ze szczytu turystów. Patrzyła pod nogi, odpowiadając na rzucane często pozdrowienia. Pojawił się wiatr swobodnie hulający na rozległej hali. Porastały ją tylko schnące trawy, mchy i porosty, borówki brusznice oraz małe, żółte kwiatuszki, chroniące się w kamiennych szczelinach. Swoją delikatnością kontrastowały z surowym otoczeniem. W oddali widniał kopiec Babiej Góry, każdy krok zbliżał Julitę do celu. Niebo było prawie bezchmurne, tylko kilka białych obłoczków przesuwano się radośnie. Jeszcze parę kroków i znalazła się tam, gdzie chciała. Szczytowała wśród tłumu obcych ludzi, zachwyconych jak ona pięknym krajobrazem. Słyszała różne języki, słowacki, angielski, niemiecki, wśród których jednak dominował polski. Zdobyła Babią Górę – marzenie spełniło się! Była przeszczęśliwa, wolna jak drapieżny ptak, który czasem przecinał niebo. Słyszała jego wołanie.

Jedząc, pijąc, dzieląc się radością z przyjaciółmi odpoczywała na szczycie. Długo to trwało, nie musiała się spieszyć z powrotem, pogoda była cudna, nic nie zapowiadało, aby miała ulec zmianie. Pobyt na kamiennym talerzu urozmaicali biegacze. W tym czasie bowiem odbywał się Bieg Krowiarki, trzynastokilometrowy dystans z Przełęczy Krowiarki przez Babią Górę i z powrotem. Katorga dla uczestników, widziała to na ich zziębniętych twarzach, w ich pochylonej postawie. Dla Julity zdobycie szczytu pieszo było wyczynem, a co dopiero wbiegnięcie nań. Z podziwem patrzyła na twardzieli i twardzielki ubranych w zabawne krowie koszulki, białe w czarne łaty, z tyłu każdej zwisał krowi ogonek – emblemat zawodów.

Wciąż przebiegali przez kopułę szczytu, gdy zaczęła schodzić. Wstępnie planowała powrót do schroniska żółtym szlakiem, niestety okazało się, że ruch był jednostronny, nie można było schodzić, nie miała wyjścia, musiała dwa razy pokonać tę samą drogę, bardzo tego nie lubiła. Czasem jednak na niektóre rzeczy nie mamy wpływu i musimy się z tym po prostu pogodzić. Schodziła nieśpiesznie, kierując wzrok na krowiarki i krowiarzy. Niektórzy szli zamiast biec, tak byli osłabieni trasą i palącym słońcem. Jedząc czerwone borówki dostrzegła kielkujące wśród kamieni mikro jodlaki lub sośniaki. Teraz, będąc małą dziewczynką, odważnie patrząc w słońce, ona jednak wiedziała, że nigdy nie urosną, zmrozi je lodowaty wiatr, śnieg i śmiertelna aura. Smutne jest życie, które musi umrzeć, choć tego nie chce, choć z całych swoich sił walczy o przetrwanie...

Ogarnęła ją dziwna melancholia. Maliny zjadane ukradkiem, był to przecież park narodowy, smakowały kwaśno. Bolały poobcierane podczas wspinaczki pięty. Kolana były obciążone, musiała na nie uważać, mając w pamięci wyprawę na Leskowiec. Stan zamyślenia, w jakim się znalazła, przerwało nagłe pojawienie się wycieczki gimnazjalistów. Wyprzedzili ją, prawie spychając ze szlaku. Żadnego szacunku dla starszych, dla drugiego człowieka. Liczyli się tylko oni, ich rozbuchana młodość. Na punkcie widokowym przystanęła obok nich, żegnając malejącą z każdym jej krokiem Babią Górą. Była świadkiem krótkiej rozmowy, fragmentu rozmowy, bo po tym co usłyszała oddaliła się natychmiast.

- Tam - nauczyciel wskazał uczniom wystający szpic skały - kilka lat temu rozbił się samolot.
- Ale fajnie! – odezwał się jakiś chłopak, z zachwytem w głosie.
- Zginęły trzy osoby... – kontynuował nauczyciel.

- Tylko trzy? – spytał ktoś inny.

Julita była przerażona tym, co usłyszała. Odskokczyła od nich jak poparzona, prawie zbiegając po kamiennych stopniach. *„Co wyrosnie z tych nastoletnich potworów? Wielkie, bezduszne monstra, które będą rządzić krajem, będą mieć własne dzieci, będą szefami w firmach... Jaka przyszłość czeka nasz wszystkich, gdy nastanie ich czas? Zapanuje głupota i znieczulica społeczna...”* – tak straszne myśli towarzyszyły jej aż do schroniska. Nie była specjalnie głodna, emocje dominowały nad potrzebami ciała.

Stanęła w długiej kolejce do kasy, zamówiła obiad wraz z piwem, i czekając na swój numer, usiadła na zewnątrz przy wolnym stoliku. Niebawem dosiadła się do niej para z czwórką małych dzieci. Były bardzo ciche, nienaturalnie grzeczne. Gry wróciła z posiłkiem kontynuowała mimowolną obserwację zachowań matki, bo to ona wiodła prym w rodzinie. Ona była sterem, żeglarzem, okrętem, a inni posłusznie, potulnie wykonywali jej polecenia. Julitę mroził jej despotyzm, jawne wyróżnianie jednych dzieci, a ganień innych. Szczególnie pastwiła się nad średnią, może ośmioletnią dziewczynką. Podważała jej wiedzę matematyczną, umiejętności społeczne, wręcz drwiła z niej, szydziła. Dziewczynka sprawiała wrażenie, że nic sobie z tego nie robi. Może już uodporniła się na oziębłość matki. Może była w komitywie ze starszym bratem, bo czasem puszczała do siebie znaczące oczka. *„To potwór – nie matka! Takie zimne suki w ogóle nie powinny mieć dzieci. Rodzina to nie wojskowy dryl!”* – w myślach oburzała się Julita. Matka wmuszała w dzieci pomidorówkę, której nie chciały jeść, miały jawny odruch wymiotny. W tej rodzinie dzieci służyły dorosłym i sobie nawzajem, a ona siedziała jak królowa i bezkarnie szydziła, koślawiąc ich charaktery i miażdżąc temperamenty. Ojciec siedział cicho, nic nie mówił. Może sam również bał się tej rozwrzeszczanej baby. W drobnym ciebie, wielki duch krzywdzenia – tak można by ją scharakteryzować. A już najbardziej Julicie żal było najstarszej dziewczynki. Nie odzywała się, siedziała jak trusia i posłusznie wiosłowała łyżką w talerzu z przepieprzoną zupą.

- Co ty wyprawiasz?!? - W pewnym momencie matka jęcza krzyknęła na nią.

Dziewczynka struchlała. Oczy wszystkich skierowały się na nią. Wciąż trzymała w dłoniach niezakręconą butelkę z wodą.

- Przecież miałaś nie pić naszej wody! – syczała jadowicie matka. – Masz zimno na ustach, chcesz na wszystkich pozarażać? Masz swoją wodę.

- Skończyła się... - wyrzuciła z siebie, jękając się, dziewczynka.

Była sparaliżowana strachem. Dwanaście lat w takiej rodzinie, bo nie mogła mieć więcej, uczyniło z niej cień dziecka, bez życia, bez radości, bez własnej woli i chęci sprzeciwu. Ojciec ostentacyjnie wytarł ustnik butelki, a pozostałe dzieci zaczęły ukradkiem szydzić z zastraszonej siostry. Najmłodsza, trzylatka, nie wiedziała jeszcze o co chodzi, ale wrosła w tę atmosferę, z pewnością stanie się kopią sióstr i brata. Dzieckiem, którego poczucie własnej wartości będzie deprecjonowane każdego dnia, przy każdej możliwej ku temu okazji.

Julita dokończyła niesmaczne piwo i zadzwoniła do Rajmunda, aby za godzinę czekał przy parkingu na dole. Nawet nie wiedziała, gdzie mają kwaterę, wszystkim zajął się on. Schodziła powoli, całodienne zmęczenie i senność dawały się we znaki. Dosłownie zasypiała w ruchu. Rajmund szczerze ucieszył się na jej widok. Nie przeszkadzała mu ogorzała od słońca twarz, jej potargane włosy, ani przybrudzony kurzem strój.

Wsiedli do samochodu i jadąc przez pół Zawoi dotarli do nowoczesnego pensjonatu. W pokoju Julita padła na łóżko i zasnęła w ubraniu. Po godzinie kolega obudził ją, delikatnie stukając w ramię. To była ostatnia szansa, żeby zdążyć zjeść kolację w restauracji na dole. Przy stolikach siedzieli wyfiokowani, pseudoeleganccy nowobogacy. Gapili się na nich, gdy weszli, jakby byli ulepiani z innej gliny. W większości przypadków opinia o człowieku budowana jest na podstawie stroju i wyglądu. Zdecydowanie wyróżniali się, byli swobodnie naturalni, w odróżnieniu od pozostałych, szczurów biorących udział w wyścigu o najlepsze stanowisko, dom, samochód, nawet majtki w kroku.

Julita i Rajmund nic sobie nie robili z tych spojrzeń. Zamówili kolacyjne dania, ona naleśniki i herbatę, kolega schabowego oraz piwo. Zaszła zabawna pomyłka. Dzbanek herbaty, który w menu miał pojemność szklanki, w rzeczywistości był litrowym dzbanem. Uradowała ją ta pomyłka, tak bardzo była spragniona po całym dniu wędrowania, że podczas posiłku wypila wszystko.

Pozostał dylemat spania. Pościelone mieli dwuosobowe łóżko małżeńskie, na którego widok jemu aż oczy jaśniały z zachwytu, jej natomiast mina rzedła. Nigdy nie robiła niczego wbrew sobie, szczególnie jeśli dotyczyło to sfery uczuć. Rajmund miał straszny kaszel, zanosił się nim, zginając w pasie od wysiłku. Julita wymyśliła zapalenie uszu! Na Babiej Górze tak wiało, że złapała zapalenie uszu. Miała wymówkę i prośbę jednocześnie, aby nie spał obok niej. Uporczywy, głośny kaszel drażnił jej nadwrażliwe uszy. Posłusznie więc przemaszerował, wraz ze swoją pościelą na drugie wolne łóżko, i tam zasnął, z pewnością nie tak szybko jak ona. Słyszał tylko jak jej oddech uspokaja się, cichnie, aż w końcu staje ledwie słyszalnym szumem, jak z muszli, w której zawsze słychać morze.

Obudziła się wcześniej rano i leżąc, obserwowała Babią Górę. Przez okno doskonale było ją widać. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie poprzedniego dnia, był cudowny. „*Ciekawe, czy ten będzie równie udany?*” – pomyślała. Słońce nie kryło się za żadną chmur, pogoda wyśmienita na aktywność na świeżym powietrzu. „*Trafili z Rajtkiem idealnie...*” – ucieszyła się. Spojrzała w jego kierunku, wtedy zadzwonił budzik. Natychmiast go wyłączył, ich oczy spotkały się, usta złagodniały w uśmiechu powitania.

Śniadanie zjedli obfite, byli jednymi z pierwszych pensjonariuszy, po czym wyruszyli w dalszą drogę. Ich celem był Beskid Sądecki, a tam, zawody na nartorolkach, w których miał startować Rajmund. Julita jak zwykle senna podczas podróży samochodowych, każdych zresztą, tym razem nie pozwoliła sobie na spanie. Nie mogła stracić tak pięknych widoków, malowniczych wzniesień pokrytych lasami, odległych szczytów, miejsc znanych jedynie jako nazwy na mapie. Gdy tylko wspomniała o kawie, Rajmund zatrzymał się na najbliższej stacji benzynowej, choć przecież spieszyli się. Panna Kolanko wyskoczyła z samochodu jak z procy, kupiła caffè latte, właściciel nawet nie wiedział, która jest najlepsza, bo sam kawy nie pijał, i wróciła do swojego kierowcy. O, teraz świat wyglądał o wiele lepiej, bez kawy nic nie ma ostrości. Objechali Gorce i Beskid Wyspowy, przekroczyli Dunajec - tak prowadził ich GPS, który nie raz okazał się wybawieniem z opresji. Wreszcie dotarli do Gabonia, tam właśnie było biuro zawodów i start. Julita nie wierzyła, że jej sąsiad zdoła pokonać tak trudny bieg, ponad sześć kilometrów pod górę, różnica wysokości – sześćset metrów. „*Nieosiągalne, nieosiągalne, nie dla Rajtka!*” – nie powiedziała jednak tego na głos, nie chciała go zniechęcać. Nawet w gazetach pisali, że to najtrudniejszy wyścig nartorolkowy w Polsce, porównywalny z takimi samymi za granicą.

Trasa prowadziła asfaltówką i kończyła tuż przed schroniskiem na Przehybie. Dalej była szutrowa droga,

nieprzejezdna dla rolkarzy i nartorolkarzy. Do startu pozostało jeszcze ponad godzinę, więc Julita samotnie rozpoczęła wędrówkę do schroniska, trasą zawodów oczywiście. Pojawił się strumyk, będący magiczną bramą do innego świata. Było tak cudnie, cicho i spokojnie, zupełnie inaczej niż na zatłoczonym szlaku prowadzącym ku Babiej Górze. Jakby nic innego nie liczyło się na całym świecie, tylko ta chwila. Jakby nie istniały wojny, erupcje wulkanów, powodzie, epidemie, śmiertelne choroby, jakby nie było zła, samo tylko dobro.

Maszerowała w podniosłym nastroju. Sama, ale nie samotna. Nie przeszkadzał jej brak ludzi, ich czeza gadanina, paplanie o byle czym, jakby męczyła ich uzdrawiająca cisza natury. Julity nie, uwielbiała spotkania z przyrodą. Strumień płynący Doliną Jaworzynki wypełniał ją całym sobą, odbijał się echem od skalistych ścian wąwozu, od porośniętych grubą warstwą ciemnozielonego mchu kamieni. Jego szum niosł się w powietrzu, był cudną symfonią dla uszu, wgryzał w pory ciała. Przepływał pod uroczymi mostkami, z jednej strony drogi na drugą.

- Za odgłos tych strumyków życie oddać! – krzyknął do niej z uśmiechem przejeżdżający rowerzysta. I życzył miłego dnia.

„*Jak po takich słowach ma on nie być miły, no jak?* – powiedziała do siebie panna Kolanko, również z uśmiechem. Towarzyszył jej cichy szum poruszanych wiatrem, w połowie wyschniętych, wysokich traw – koncert jesienny na dwa dźwięki, spośród których dominowała rzeka. Rozłożyste liście łopianów ubajeczniały krajobraz, rośliny o wysuszonych kwiato-nasionach, których nazw nie знаła, porastały stoki. Ptaki nie miały czelności zaburzać ciszy w świątyni strumienia. Czekwały ze śpiewem, aż rzeka zniknie w głębi lasu i dopiero wtedy dały koncert. Harmonia treli otoczyła Julitę ze wszystkich stron, z wysokich koron drzew gubiących żółto-zielone liście, z czerwono-listnych małych krzaków, z wiecznie-zielonych sosen i świerków. Szła radośnie, lekko, choć wspinała się coraz wyżej i wyżej.

Nie dogonił jej żaden z uczestników biegu. Minęła linię mety, gdzie czekali sędziowie i fotoreporterzy, tam również znajdowała się prowizoryczna szatnia i depozyt. Już z daleka zobaczyła schronisko. Kamienne, stare, o spadzistym dachu i z rozległym tarasem widokowym na roztaczającą się panoramę – takie jak prawdziwe schronisko powinno być. Nie hotel dla leniwych turystów. Zamówiła duże piwo i siedząc na tarasie, cieszyła oczy pejzażem gór układających się warstwami, im wyższe i dalsze tym bardziej zlewały się z kolorem nieba, tworząc jedność.

Zrelaksowana i orzeźwiona piwem wstawiała już, by iść na spotkanie z Rajmundem, który w tym mniej więcej czasie miał zbliżyć się do mety, gdy nagle zobaczyła go jak z uśmiechem na ustach zmierza w jej kierunku. Zmęczony, spocony, z ogromnym medalem dyndającym na piersi, niosł w ręku kijki i rolki, na ramieniu zaś plecak. Nie wierzyła własnym oczom, że w ogóle ukończył tak wymagające zawody, ani tym bardziej, że zrobił to wcześniej niż zapowiadał. Pogratulowała mu serdecznie i szczerze. Zjedli wspólnie schroniskowy obiad: dwa żurki oraz pierogi. On spragniony łąpczywie popijał piwo, a ona z nieskrywanym podziwem zerknęła na jego umięśnione uda i ramiona. Opowiadał o trasie, o narastającym w trakcie biegu zmęczeniu, o uzyskanej końcowej lokacie, był z siebie dumny, ona z niego.

Długo odpoczywali, w tym czasie pogoda zaczęła się zmieniać, dał silny wiatr, a niebo zaciągnęło grubą warstwą chmur. Zbierało się na deszcz, oni także zaczęli się zbierać. Do domu mieli daleko, a nie wiadomo jaka będzie droga. Zrobili kilka pamiątkowych zdjęć i tą samą trasą ruszyli w dół. Szli wolno, Julicie doskwierała poobcierana pięta, później pojawił się ból ścięgna achillesowego. Utykała, wspierając się na kijkach. Po Rajmundzie nie widać było śladów zmęczenia, maszerował obok, schodząc z drogi, gdy mijały ich zjeżdżające samochody, czy nieroztropni rozpędzeni rowerzyści lub rolkarze, często bez

kasków. Przy takiej prędkości nie sposób zahamować i łatwo o zderzenie lub nawet niebezpieczny wypadek.

Na dole, w Gaboniu czekał na nich prawie opustoszały parking. Wsiedli do samochodu, Rajmund uruchomił GPS i ruszyli w drogę powrotną, zaczął padać deszcz, a Julicie oczy same się zamknęły. Gdy ponownie je otworzyła, było już ciemno. Sznur świateł samochodów jadących z naprzeciwka oślepiał, co utrudniało jazdę, natomiast ich pas był prawie pusty, jechali wzdłuż Dunajca, potem oddalili się od rzeki. W radiu leciała audycja Trójkowo Filmowo, jak w każdą niedzielę, akurat rozmawiano o Andrzeju Wajdzie i jego najnowszym filmie pt.: „Powidoki”, który został wybrany do reprezentowania Polski na uroczystości rozdania Oskarów, w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny. Dialog był zajmujący, Julita i Rajmund słuchali z zainteresowaniem, dla obojga był ulubionym polskim reżyserem, od lat jej faworytem była „Brzezina”, jego „Ziemia Obiecana”, wiedzieli o tym. Deszcz padał nieustannie, radio cichutko grało, a oni jechali zasłuchani w to, co dla nich ważne i co ich łączyło, kino zawsze był tematem rozmów. Później ona czytała w komórce opowiadania na portalach literackich, on kierował, hamując gwałtownie lub przyspieszając na zmianę. Jazda nie była płynna i Julicie, od dziecka cierpiącej na chorobę lokomocyjną, często było niedobrze, rozkładała wtedy siedzenie i spędzała podróż w pozycji półleżącej.

Zanim wjechali na zakopiankę, już stanęli w korku. Sznur samochodów posuwał się ślimaczym tempem w ciemnościach dżdżystej nocy. Zanosilo się, na bardzo dłuuuugą podróż. *„Będzie dobrze, jak dotrzemy na drugą, a wstać trzeba po szóstej!* - panikowała w myślach – *Jak ja jutro wytrzymam w pracy?!”*

I wtedy po raz pierwszy, tak naprawdę pomyślała o Rajmundzie. On też musiał wstać wcześniej rano, nie drzemał tak jak ona, tylko cały czas kierował. Spytała czy jest głodny. Przytaknął gorliwie. Sięgnęła do torby z prowiantem, przygotowała kajzerkę z frakfurterką i ogórkiem kiszonym. Zjadł w oka mgnienia. Potem napiła go wodą z butelki, a na koniec spytała, czy chce gumę do żucia. Chciał! Podała mu ją na wyciągniętej w ciemnościach dłoni, gdy poczuła wilgoć i ciepło jego warg zadrżała z podniecenia. Ogarnęło całe jej ciało, od koniuszków palców stóp, aż po czubek głowy. Tym gestem zaczarował ją, odmienił. Spojrzała na niego już inaczej. Dłoń samoistnie zanurzyła się w jego miękkich włosach...

Często szukamy szczęścia w odległych krainach, podczas gdy jest ono tuż, tuż, tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

(październik 2016)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Niczyja, dodano 25.10.2016 20:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.